

CHRZCINY

Była tęga zima. Śnieg sięgał miejscami czubka głowy. Droga przez wieś stanowiła jakby śnieżny wąwóz, tak że śledząc co się dzieje na drodze przez okrągły odlodzony chuchaniem kawałek okiennej szyby, można było zobaczyć głowę przyodziałą w baranicę, pojawiającą i znikającą w wąwozie śnieżnym, albo przesuwaną się tylko wzdłuż drogi ale której towarzyszył dźwięk dzwonka dyndającego na pasku oplatającym kark koński, chomąto lub wiszące na końcu dyszla sań.

Pojawiający się widok głowy odzianej w baranicę, bez czy z dźwiękiem dzwonka, świadczył o tym, że ktoś kierowany potrzebą, porusza się wąwozem śnieżnym, biegnącym wzdłuż drogi. — Ten w baranicy porusza się pieszo, zaś zaprzęgiem konnym to ten co też w baranicy, ale sygnalizuje dzwonkiem swoją obecność na śnieżnej drodze.

Gdyby ktoś niewtajemniczony z ciekawości pytał biegłego w tych sprawach o wiejski zimowy zaprzęg konny, to usłyszałby najprawdopodobniej taką odpowiedź:

— Właściciel niechętnie oddaje zaprzęg w obce ręce.

Sam właściciel, jeśli pełni rolę woźnicy, siada na ławce, to jest na desce o odpowiednich wymiarach, umiejscowionej mniej więcej w środku sań, na takiej wysokości, by kierując pojazdem, mógł swobodnie umieścić stopy nóg na podłodze sań.

Woźnica w lewej ręce trzyma lejce tak, że może lewym czy prawym lejcem komunikować się z koniem czy końmi. Pociągając za

lewy czy prawy lejc, wydaje koniom czy koniowi polecenie skrętu w lewo lub prawo. Pociągając równocześnie obydwa lejce, poleca zatrzymać się lub cofać.

Woźnica w prawej ręce zwykle dzierży bat.

Bat składa się z biczyska wykonanego zwykle z cienkiej, długiej około dwumetrowej trzciny. Na cieńszym końcu trzciny króluje bicz wykonany z rzemienia o średnicy mniej więcej 5 mm i długości około półtora metra.



Do kościoła jechano czworgiem sań

Na biczu — żeby był bardziej skuteczny — znajdują się węzły ulokowane na jego połowie bliższej biczyska.

Jedni utrzymują, że bat w rękę kierującego saniami wyostrza końską czujność o własną skórę i pomnaża jego szacunek dla kie-

rującego, inni zaś, że koniom wyostrza słuch i potęguje spolegliwość, co wychodzi na jedno.

W niedziele czy święta, kiedy już pora wymarszu czy wyjazdu do parafialnego kościoła, ruch na drogach staje się zwielokrotniony, czasem gorączkowy i znacznie ożywiony.

Ale wróćmy do przygotowań związanych z chrzciniami. Czas przygotowania do uroczystości szybko minął. Nadszedł uroczysty dzień chrztu.

Do kościoła jechali czworgiem sań.

Tuż po mszy Świętej, ksiądz Proboszcz ochrzcił niemowlę, nadając mu imię Antoni, tak jak, bez większego oporu Magdy, postanowił Justyn.

Po ceremonii Chrztu Świętego, już z ochrzczonym Antkiem, biorący udział w uroczystości, zmarznięci, żwawo pędzili do domu Magdy i Justyna, gdzie czekał już na nich stół biesiadny, zastawiony różnymi potrawami i napojami, przyrządzonymi domowym sposobem na tę uroczystość.

Jak już wiadomo, posiłki, desery, przystawki i napoje bezalkoholowe przygotowywała Magda, zaś trunki i zakąski

były na głowie Justyna, toteż Justyn przeliczał wielokrotnie gości w drodze do kościoła i powrotnej i tych co nie

uczestniczyli w ceremonii kościelnej a mają być na samej uczcie w domu Magdy i Justyna.

Po kilkukrotnym przeliczeniu już w drodze powrotnej z kościoła, naszła go obawa, że może nie wystarczy, co przełożyło się na złość na siebie, że jeszcze jednego gąsiora nie upędził, byłoby bez obawy i złości,...a tak?

W prawdzie liczba gości się zgadzała, ale nie wziął poprawki w przeliczeniach na przejawiany przez gości — już w drodze do kościoła — zapał do powrotu do domu Magdy i Józefa, by usiąść czym prędzej przy stole i rozgrzać kości, bo zimno było wielkie.

A mróz, jakby na przekór tego co w głębi duszy pragnął Justyn, z godziny na godzinę coraz bardziej dawał się we znaki, co nie wróżyło nic dobrego dla Justyna jako odpowiedzialnego za zaopatrzenie uroczystości w trunki.

Wszyscy w różny sposób dawali upust radości z wyjątkiem Justyna który zamknął się w sobie z miną winowajcy milcząc, szukał na gwałt jakiegoś wyjścia, które by mu pomogło rozwiązać problem który sobie sam zgotował.

Magda znana z tego, że jest mądrą i przewidującą żoną, była a właściwie można powiedzieć była i jest zauroczona od dawna i bezkrytycznie Justynem. Zna wszakże oprócz jego mocnych stron, także jego słabe strony i udaje jej się jak dotychczas zapobiec ich prawdopodobnym skutkom, łatwiejszym do przewidzenia jeśli dotyczą określonego zadania które Justyn podejmuje się wykonać.

W tajemnicy przed Justynem — tak na wszelki wypadek — Magda upędziła zawczasu gąsior śliwowicy i miała go schowany w komorze.

— Co ci Justuś, czy mogę ci w czymś pomóc? — wyglądasz jakby cię coś gryzło w sobie — Magda przytulając się do Justyna pytała szeptem pełnym troski.

— A gryzie i to jak gryzie ale w tym mi nikt nie może pomóc, nawet ty Magduś, choć czuję przez skórę, że bardzo byś chciała. Żal jej się zrobiło Justyna po tym co usłyszała. — Przysięgaliśmy sobie na ślubie, że my razem zawsze na dobre i na złe pamiętasz kochany Justusiu?, — więc powiedz mi co ci gryzie. — Przytuliła się do Justka tak, że już bardziej nie było można..

— No bo, no bo liczyłem pół litra na głowę a na taki mróz jak dzisiaj trzeba było więcej, myślę że dużo więcej, w najlepszym razie przy tym zimnie do północy z biedą wystarczy a goście chcą do rana i co ty mi w tym możesz pomóc Madziu. — Magda przy-

znała się co ukrywa przed nim w komorze, że tam jest upędzony przez nią Magdę gąsior śliwowicy. Na wieść o tym, — ku nieukrywanej radości Magdy — Justyn w oczach się przepoczwarzał i stał się takim, jakim dotąd jawił się tylko w jej marzeniach,

Do uszu czekających na gości w domu biesiadnym, dochodziły już, tak charakterystyczne dla sań dźwięki dzwonków i odgłosy strzelania z batów przez woźniców, co oznaczało, że powracający z kościoła z ochrzczoneym Antkiem, już są już blisko.



Do uszu czekających dochodziły dźwięki dzwonków

Stanęli przy drzwiach wejściowych, gotowi do ich otwarcia by gościom nie dać czekać na zimnie.

Są już pierwsi goście,... za nimi następni i następni.

Trwają wesołe rozmowy, słysząc tupania, żeby buty pozbawić śniegu i szelest towarzyszący usuwaniu śniegu z kożuchów i gwar wchodzących do izby.

Niezaadługo wszyscy już bez nakryć głów i kożuchów siedzieli za stołem biesiadnym

Podgrzany do czerwoności żeleźniak, promieniował ciepłem na całą izbę. Biesiadnicy raczeni jadłem, podlewanym gorzalką, otwierali się szybko, dyskutując coraz żywiej i głośniejsze.

Mężczyźni — jak zwykle — skupili się na polityce i po trosze na rewolucji przemysłowej i złu panoszącemu się w Polsce i w świecie.

Justyn, jako gospodarz, wykorzystywał każdą przerwę w dyskusji, wznosząc wyuczone zawczasu toasty a to za zdrowie pań a to za małego Antosia by wyrósł na porządnego Antka, a to za pomyślność gości i za to by sprawiedliwość znaczyła równe prawa i obowiązki dla wszystkich.

Później Justyn już nie czekał na przerwę ale ją z uśmiechem na twarzy wymuszał, poprzez stukanie do skutku łyżką w szklanice.

W miarę kolejnych toastów, coraz więcej biesiadników podnosiło rękę w górę na znak, że chcą zabrać głos w dyskusji.

Justyn, napełniał kieliszki jak tylko zauważył że któryś pusty, dopingował grzecznie z wrodzonym taktem, do wypicia i zakąsania, uśmiechał się życzliwie.

Jak butelka z której nalewał była pusta, udawał się do komory, gdzie przechowywał butelki napełnione gorzalką, przygotowane zawczasu na tę uroczystość i rychło wracał z pełną i kilkoma w jej sąsiedztwie na zapas.

Joachim umiejętnie budował atmosferę sprzyjającą dyskusji. Prowokował do dyskusji, na początek na historyczne czy polityczne tematy bo później — każdy bywalec takich uroczystości to dobrze wie — nie wszyscy mogą myśleć i mówić tak składnie jak na

początku i skłaniają się raczej do tematyki w której uczestniczenie nie wymaga znajomości historii czy otrzaskania w polityce.

Joachim opowiadał o Rezurekcji Kościuszkowskiej o powstaniach Listopadowym i Styczniowym, opowiadał jak się zakończyły i dlaczego i o tym jak historycznie biorąc pojmowano sprawiedliwość społeczną i jakie głosy w pojmowaniu sprawiedliwości społecznej powinno się wspierać a jakie potępiać i dlaczego.

By łatwiej wyjaśnić pojmowanie ongiś sprawiedliwości społecznej zamierzał podeprzeć się przykładem wziętym z historii powstania chłopów pod wodzą Kostki Napierskiego w XVII wieku.

Zanim zaczął, sięgnął po kubek wypełniony napojem bezalkoholowym przygotowanym przez Magdę.

Wykorzystał ten moment Jakub siedzący obok Huberta.

Nie pasowało mu bowiem to o co Joachim mówił o sprawiedliwości społecznej, do poglądów które on Jakub wyznawał. Uważał bowiem, że świat się od wieków kręci według ustalonych prawideł i że łatwo to kręcenie się, przez zmianę tych, istniejących od wieków prawideł pospuć.

Nigdy przedtem nie wypowiadał się publicznie, ale teraz, po dwóch czy może więcej kieliszkach — nie próżnował jak inni — nabrał odwagi i ochoty, co przesądziło o tym, że postanowił pochwalić się jak on Jakub rozumie sprawiedliwość społeczną.

Podniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć, wstał, rozpiął bardziej koszulę, rozglądnął się, oparł dłonie o krawędź stołu i rzekł:

— A ja Jakub to uważam, że świat jest taki, jaki jest, to znaczy chciałem powiedzieć, że jedni są stworzeni do rządzenia a drudzy do słuchania, a nie żeby się buntować, czy jakieś powstania organizować przeciwko ustanowionemu porządkowi rzeczy. Pamiętam jak ksiądz Proboszcz tak właśnie głosił o tym z ambony a ja uznaję, że On — skłonił się Jakub — to znaczy nasz ksiądz Proboszcz,

najlepiej wie jak powinniśmy się zachowywać i jako przestrozę dla myślących inaczej, powtarzam naszego księdza Proboszcza słowa. — Jakub usiadł, zadowolony.

Joachim czekał cierpliwie ale dostrzegł, że Hubert rwie się do głosu więc ustąpił Hubertowi.

— Słuchaj mnie uważnie Jakub – odezwał się Hubert.

Jeśli ksiądz Proboszcz nawet coś o tym głosił, to jestem święcie przekonany, że nasz światły Pasterz z jakichś nieznanych nam a istotnych powodów zdecydował się na taką wykładnię, na taką definicję co należy rozumieć pod pojęciem „Sprawiedliwość społeczna”, ale to jest mało prawdopodobne, a wielce prawdopodobne jest to, że ty Jakub, mało uważnie słuchałeś, — pojmujesz Jakub?. A teraz siadaj, siedź cicho i słuchaj. — Hubert uśmiechnął się przyjaźnie do Jakuba zachęcając żeby usiadł.

Zrezygnowany Jakub machnął ręką i usiadł. Nie trwało długo jak znowu wstał i wydukał, że on musi do domu.

— Nie wiem, co tam dzieci wyrabiają korzystając z naszej nieobecności — Jakub tłumaczył bez większego przekonania, że mu ktoś uwierzy — żeby tylko ognia nie zaproszyły a na strychu pełno siana i słomy. No to chodź Jaguś — rzekł i potwierdził to ręką.

Jagna słyszała wypowiedź Jakuba kiedy sięgał po czapkę wiszącą na gwoździu wbitym w drewnianą ścianę izby i wołał „No to chodź Jaguś”.

— Ja jeszcze nie idę — usłyszał odpowiedź Jagny — a co się tyczy dzieci i ognia, to moja siostra Justysia pilnuje, żeby nic złego się nie stało. Przecież mówiłam ci o tym Jakub. — Starzejesz się za wcześnie mój ty Jakubku.

— Całkiem zapomniałem, odezwał się Jakub, spojrzał z wyrzutem na Jagnę i widąc niezadowolony z takiego obrotu sprawy, mrużąc gniewnie — pewnie coś niecenzuralnego pod nosem — po-

wiesił czapkę na tym samym gwoździu, co poprzednio, przysunął siedzenie do stołu i zrezygnowany usadowił się na nim.

Nie mogłem czegoś innego wymyślić — złościł się Jakub w duchu, mruczając pod nosem coś w rodzaju: nie mogę liczyć nawet na rodzoną żonę, która zamiast pomagać w trudnych chwilach, swoim zachowaniem sprawia, że on Jakub wychodzi na durnia albo jeszcze kogoś gorszego.

— Joachimie, poweselmy się trochę, przecież to chrzciny a nie zaplanowane spotkanie dokształcające u Józka Skiby. Wydaje się, że tam jest odpowiedniejsze miejsce dla tego rodzaju tematykę, proszę Joachimie. — Karolina uśmiechała się do Joachima, wiedziała z góry, że Joachim spełni jej prośbę,

Słowa Karoliny spotkały się ze zrozumieniem Joachima i z aplauzem pozostałych biesiadników w czym wyraźnie przodowały panie zwłaszcza Jagna.

— Justyn!, no co się gapisz, napełnij kieliszki do pełna, bo widzę, że co drugi pusty — popędzała męża Magda. A ty Kacper — ciągnęła Magda ze słodką miną — wyciągnij z futerału tę „Półtonówkę”, harmonię znaczy się i zagraj nam coś,.....proszę Kacper.

— Z nieba mi spadłyście — rzekła ucieszona Magda do Jagny i Karoliny.

Kacper potajemnie podkochał się w Magdzie i to podkochiwanie, ożywione uśmiechem Magdy spowodowało pewnie, że w mig rozległy się dźwięki harmonii i niebawem także skrzypiec, bowiem ku radości wszystkich, skrzypce przyniósł ze sobą Jakub.

— Jakub, chyba cię ucałuję — krzyknęła radośnie Magda i rzeczywiście ucałowała go w policzek na co z zazdrością patrzył Kacper.

Magda i Justyn nie prosili Jakuba by zabrał ze sobą skrzypce, ponieważ krążyła wieść po wsi, że Jakuba widziano ostatnio z lewą

ręką na temblaku a jeśli tak, to osądzili, że niezręcznie byłoby go o to prosić.

A tu patrzcie jaką nam zrobił miłą niespodziankę. Gra i to jak. Po temblaku ani śladu. Cieszyła się Magda. Cieszyli się wszyscy.

Jakub, czując, że jest słabszym od innych w polityce czy historii, postanowił w duchu wyrównać rachunek grą na skrzypcach, pokazując, że grze na skrzypcach nie ma sobie równych co najmniej w okolicy.

Mówiono o Jakubie „Nasz Paganini”.

— Żeby nie Jagna, to byśmy „Naszego Paganiniego” tu nie mieli — zauważyła Karolina.

Popłynęła melodia pieśni „Na wzgórzach Mandżurii”. Kacper lubił tę pieśń i zwykle na każdej uroczystości na którą był zaproszony, prezentując kunszt z jakim opanował grę na harmonii, grał tę właśnie melodię.

Jakub z Kacprem stanowili zgrany zespół, rozumieli się doskonale.

Mistrzowski sposób wykorzystania możliwości instrumentów, talent muzyczny, dobór pieśni, interpretacja pieśni wprowadzająca słuchacza w stan emocjonalny, sprawiały, że słuchającemu otaczający go świat wydawał się przyjaźniejszym niż zwykle, przybywało odwagi i szczerości w wypowiedziach, przybywało także miłości do bliźniego, czego bez takiej muzyki nie sposób byłoby łatwo uczynić.

Nieprzedawkowany trunek nie przeszkadza a wręcz pomaga w tym dziele — Justyn z doświadczenia wiedział o tym i dopilnowywał w miarę możliwości żeby tak właśnie było. Po „Na wzgórzach Mandżurii”, popłynęła pieśń „Hej Sokoły”.

Coraz więcej osób włączało się do chóru. Joachim, przy akompaniamencie muzyków śpiewał solo:

*Hej, tam gdzieś znad czarnej wody,
Wsiada na koń kozak młody,
Czule żegna się z dziewczyną,
Jeszcze czulej z Ukrainą.*

A potem wszyscy,

*He, hej, hej sokoły
Omijajcie góry, lasy, doły.
Dzwoń, dzwoń, dzwoń dzwoneczku,
Mój stepowy skowroneczku.*

Później siarczystego obertasa śpiewał Justyn. Kacper i Jakub akompaniowali Justynowi, Piotr tańczył z Anią.

*Krzyczy Janek już różany,
Niby płonka w sadzie,
A poprawia pas skórzany,
Rękę za pas kładzie,*

*Pokrzykuje, potupuje,
Karczma mu za ciasna,
Bo też Janek co jest czuje,
Suknia na nim jasna.*

Teraz na przemian, był albo śpiew albo dyskusje. Jeśli tańce to najwyżej dwie pary z uwagi na rozmiary izby.

Kacper grał melodię do tańca o nazwie „Lender”, Jakub akompaniował Kacprowi grą na skrzypcach, tak akompaniował, że słyszało się nie jeden a jakby więcej instrumentów smyczkowych.

Piotr tańczył z Karoliną a Joachim z Anią. Pierwszą część „Lender’a”, tańczyli w zwolnionym tempie z wymalowaną na twarzach powagą i jakby dostojeństwem, skupiając wielką uwagę na krokach by były równoczesne i piękne jak w balecie.

W drugiej znacznie szybszej części „Lender’a”, powaga i dostojeństwo kryły się za uśmiechem znamionującym radość z doznań chwili a w trzeciej części najszybszej, tańczący puszczały wodze fantazji z uśmiechem serdecznym wywijali hołubce do utraty tchu, mniej zwracając uwagi na reguły tańca.

Ci co nie tańczyli, oklaskami gorąco szczególnie w trzeciej części „Lender’a”, kwitowali hołubce tańczących.

Było tak, że w miarę upływu czasu, panie przenosiły się niespostrzeżenie dla mężczyzn zaabsorbowanych śpiewem i sporami w dyskusji, do stołu ustawionego bliżej pieca, pod pretekstem, że tam cieplej a w gruncie rzeczy — o czym szeptały między sobą — że mają ciekawsze tematy do omówienia a nie tylko te które interesują mężczyzn.

W rozmowach między sobą, chcą rozmawiać o problemach ich zdaniem ważniejszych, problemach z którymi każda z nich musi się borykać co dnia a zwłaszcza kiedy nastaje pamiętany długo potem przednówek, no i — co tu ukrywać — o ciekawostkach, które po wysłuchanie wywołują jeszcze długo dreszcze.

W kącie, nieco z dala od pieca, siedziały przy specjalnie na tę okoliczność skonstruowanej przez Justyną ławie, starsze od ochrzczonego dzisiaj Antka, pozostałe dzieci Magdy i Justyna — Marianna, Franciszka, Józek, Jan i Izydor.

A mały Antoś, leżał uśmiechnięty w kołysce i wodził oczami za ojcem Justynem, jakby chciał powiedzieć, dobrze tato, że nie przystałeś na Onufrego, albo na tych tam innych.

Zapanowała atmosfera, że panie już stały się skore do ujawnienia tajemnic, nawet tych skrywanych od dawna na dnie duszy.

Już wszystkie okupowały stół umieszczony bliżej żelźniaka. Stół nakryty obrusem z lnianego płótna, na nim piętrzące się sma-kołyki a wokół niego w pięknych strojach ludowych, uczestniczki uroczystości.

Najsampierw omawiały ważne bieżące problemy, przyprowadzając o ból głowy, bo końca zimy nie widać a zapasy żywności się szybko kończą nie mówiąc o odzieniu chociażby dla dzieci.

— Nie sposób nadażyć z łataniem dziur na tyłkach portek i kolanach no i butach, mówię wam — narzekała Zyta.

— Kiedyś wystarczały jedne portki czy buty na cały dom a teraz każdy chce mieć swoje — wspierała Zytę Wicia.

Ale widać było po zachowaniu pań że rychło przejdą do tematyki bardziej dla nich ciekawej niż biadolenie nad niedogodnościami życiowymi.

— Pamiętacie — Jagna sprytnie prowokowała do zmiany tematyki — naszą rozmowę po spotkaniu z panią Laurą, na którym to spotkaniu pani Laura opowiadała nam o nowinkach z kalendarza pani Lucyny Ćwierczakiewiczowej i uprawie jarzyn w ogródkach warzywnych a po spotkaniu z panią Laurą główkowałyśmy bez skutku co mogło się stać z zegarkiem Gotfrieda.

— Tak pamiętamy a jakże by inaczej — odpowiedziały wszystkie zamieniając się w słuch.

— To czy wiadomo już czy ten zegarek się znalazł, czy dalej nie wiadomo co z nim z tym zegarkiem?. — Haniu, może ty wiesz coś na ten temat — Jagna patrzyła na Hankę ale Hanię ubiegła Karolina.

Ja mogę opowiedzieć — zdeklarowała się Karolina. Wiem o tym od samej Zyty, jeśli oczywiście Hania mi pozwoli. Z Zytą przyjaźnimy się od dawna. Hanię proszę niech prostuje jeśli coś było inaczej niż będzie w mojej opowieści i dopowie jeśli coś znaczącego opuszczę — prosiła Karolina.

Hanka dała znak głową, że nie ma nic przeciwko propozycji Karoliny i że się zgadza.

Zegarek znalazł Błażej — rozpoczęła Karolina.

— To jak to było, że tak długo nikt o tym nie wiedział? — dopytywała Agata.

— Błażej postanowił, — wyjaśniała Karolina, że do czasu, aż wszystko dokładnie przemyśli, rozważy i ustali jakie kroki najrozsądniej w tej sytuacji podjąć, będzie utrzymywał w tajemnicy przed Zytą i w ogóle przed wszystkimi to, że znalazł zegarek.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Błażewi tajemnica o zegarku, zaczęła ciążyć coraz bardziej.

Unikał chodzenia do kościoła na msze Święte. A jak już nie mógł się wymigać, żeby iść z Zytą do kościoła, jak przystało na wzorowe małżeństwo, to będąc w kościele, wykręcał się jak mógł od spowiedzi.

Chudł niepokojąco, co nie mogło ująć uwadze Zyty. Próbowwała różnymi sposobami sprowokować Błażeja, by wyznał, co mu dolega, co mu leży na duszy, ale gdzie tam, nawet płaczem nic nie mogła wskórać.

Wmawiał Zycie, że nic mu nie dolega. Do kościoła rzadko chodzi, bo jest dużo roboty w gospodarstwie a mówi się, że kto pracuje ten się modli więc o co Zycie chodzi?.

. Sadzenie kartofli, omloty, owce trzeba strzyc, wełnę sprzedać bo pieniędzy stale brakuje, chałupę ogacić przed zimą; Sama widzisz ile tego jest a jeszcze wszystkiego nie wyliczyłem — usprawiedliwiał się przed Zytą

W rzeczy samej, Błażej niby ma rację — rozważała Zyta w duchu, — ale jak to jest, przecież w ubiegłych latach też było tyle roboty, może nawet więcej a miał czas na wszystko nie wyłączając kościoła.

Musi, że starzeje się mój Błażej albo jeśli nie to to coś innego mu zatruwa życie; coś mi się widzi, że to drugie.

Dam mu jakiś czas spokój a potem, jeśli to się nie zmieni, będę naciskać znanymi nam kobietom sposobami, aż do skutku, aż zmięknie i wywnętrzy się ten twardziel — Zyta układała w myśli plan działania.

Po upływie kilku miesięcy od momentu znalezienia zegarka, Błażej już nie mógł udźwignąć tajemnicy, którą nosił w sobie, a w jego duszy pojawiały się coraz to nowe pytania i wątpliwości powiększające ten ciężar.

Żył jednym słowem w rosnącej z dnia na dzień i trapiącej coraz bardziej rozterce.

Błażej z natury był małomównym człowiekiem, dużo czytał. Uwielbiał książki Juliusza Verne’a. — Zaczął od „Pięć tygodni w balonie”, teraz w wolnych chwilach czyta „Tajemniczą wyspę” — ostatnią nieprzeczytaną książkę z trylogii napisanej przez tego uwielbianego przez Błażeja francuskiego pisarza.

Bywało, że Błażej przedkładał fascynujące przygody bohaterów książek Juliusza Verne’a, — podróżował z nimi w wyobraźni — ponad opowiadania Zyty o tym, co się zdarzyło ostatnio we wsi czy w okolicy, chociaż przyznawał, że niektóre opowiadania Zyty były też interesujące.

Bywało, że Zyta wytykała Błażejowi, że jak mówi do niego to on zamiast słuchać, co ona mówi to on myśli o niebieskich migdałach co ma wypisane na twarzy.

Zyta załżała mi się, że opowiadała Błażejowi o Florku. Opowiadała mu o Florku co pamięta jak by to było wczoraj. Opowiadała jak Sąd Gminny uznał Florka za winnego kradzieży zegarka z ubrania Gotfrieda.

Z zachowania się Błażeja w czasie od znalezienia zegarka aż do samej spowiedzi, można wysnuć wniosek, że Błażej Zyty wtedy

nie słuchał, bo nie sposób żeby słuchał i nie skojarzył tego z zegarkiem który znalazł.

Błażej opowiadał później Zycie, że jakieś lichy szeptało mu do ucha:

— Słuchaj Błażej, przecież znalazłeś, nie ukradłeś. O tym, że go znalazłeś, nie musisz przyznawać się Zycie — rozumiesz. Pojedziesz na targ do Żarek, Siewierza lub Będzina. Lepiej do Żarek. Dalej ale mniejsze ryzyko, że spotkasz jakiegoś znajomego wścibskiego. Pojedziesz i sprzedasz tam zegarek nim się obejrzysz.

Taki zegarek, może być nawet wart tyle, co dobra krowa, albo i więcej. Potrzebujesz pieniędzy chociażby na buty dla dzieci, ubrania jakieś dla nich na zimę bo się zbliża a podobnej okazji w życiu pewnie się już nie doczekasz. Szczęściarzu z ciebie Błażej.

— No tak, — Błażej rozważał w duchu — jak go sprzedam ten zegarek i coś za to kupię, to, co ja Zycie odpowiem na takie na przykład pytanie, które mi na pewno zada: — Błażejku, skąd wziąłeś pieniądze na to, co kupiłeś?. I co ja wtedy odpowiem?.

— No to sprzedasz a pieniądze za to, schowasz gdzieś w bezpieczne, tobie tylko znane miejsce, nie musisz przecież wydawać wszystkiego na raz, po trochu, to na dłużej wystarczy — kusiło go to coś bezustannie.

Korciło Błażeja, żeby tak właśnie postąpić jak mu podpowiadało to coś, ale nie był wcale pewien czy jeśli tak postąpi jak go korci, to czy nie zgrzeszy. Ta niepewność to rosła to malała, ale trwała cały czas.

Błażej, starał się w życiu kierować „Dekalogiem”. Przypominał sobie teraz „Dziesięć Przykazań Bożych”, którymi — uważał — każdy człowiek a tym bardziej chrześcijanin i w dodatku praktykujący, powinien kierować się w życiu doczesnym.

W przypadku znalezionej zegarka, wydawało mu się, że najbardziej odpowiednimi do tego, by się utwierdzić w przekonaniu,

że postępuje dobrze, są przykazania dziesiąte no i dziewiąte, i że pewnie należy je rozpatrywać łącznie z uwagi na sposób, w jaki są zapisane.

Siódme pewnie nie, przecież zegarka nikomu nie ukradł.

Dziewiąte przykazanie mówi, „Nie pożądaj żony bliźniego swego” a to nie ma nic wspólnego z tym, o co Błażejowi chodzi. Natomiast jak się doda do dziewiątego dziesiąte, które brzmi „Ani żadnej rzeczy, która jego jest”, to razem czytane jak ułał do tego pasują. — Tak mu się wydawało.

Jego, czyli bliźniego swego — rozumował Błażej, innymi słowy, nie wolno mu, Błażejowi, pożądać rzeczy, która jest jego, czyli bliźniego Błażeja.

„Pożądać rzeczy bliźniego”, przecież ja jej — tej rzeczy — nie pożądałem, znalazłem zegarek zupełnie przypadkowo a czy znaleźć jakąś rzecz to to samo, co pożądać rzecz bliźniego swego?. — Przemyślał to Błażej i wyszło mu, że to nie jest to samo.

A kogo nazywamy swym bliźnim?. — Czy właściciel znalezionego zegarka jest moim bliźnim?. — Pytał siebie w duchu Błażej.

Znajomy Błażeja, znany z biegłości w „Piśmie Świętym”, zapytany przez Błażeja co o tym sądzi, powiedział, że jeśli się dobrze czyni dla kogoś, to jest się jego bliźnim.

— No dobrze, — rozumował Błażej — ale ja przecież nie mogłem czynić dobrze dla właściciela zegarka a on czynić dobrze dla mnie, bo się nawet nie znamy,... wychodzi z tego, że on nie może być moim a ja jego bliźnim.

Wynik takiego rozumowania wzmacniał przekonanie Błażeja, że może bez obawy popełnienia grzechu, sprzedać zegarek, czy zrobić z nim co zechce, według własnej woli. Jednak wątpliwości nie dawały za wygraną i nachodziły go jak tylko zaczął myśleć o sprzedaży.

Zapytam jeszcze Joachima, może on mi odpowie, wyjaśni w sposób nie budzący wątpliwości, kogo nazywamy naszym bliźnim, czy kto jest naszym bliźnim — postanowił Błażej i tak uczynił.

Pytany o to Joachim, długo myślał po czym odpowiedział tak: — Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo Boże, ale podobieństwo tylko nieśmiertelnej części człowieka, czyli jego duszy a nie ciała, jeśli więc dostrzeżesz w danym człowieku obraz i podobieństwo Boże to masz do czynienia z bliźnim.

Innymi słowy – wyjaśniał Joachim – bliźnim może być każdy człowiek, ale nim nie jest. Może nim być poganin czy dzikus, zło-
czyńca nawet, ale dopiero od momentu, kiedy zaczniesz żyć jak Bóg przykazał.

Po wyjaśnieniu Joachima sprawa wydała się Błażewi nie do rozstrzygnięcia dopóty dopóki nie pozna właściciela zegarka, a jeśli będzie miał szczęście i go pozna to przyjdzie mu dociekać i osądzać w końcu czy on żyje tak jak Bóg przykazał czy nie i wtedy dopiero wyjdzie, czy jest czy nie jest bliźnim Błażeja.

Ale żeby poznać właściciela zegarka, musi ogłosić publicznie, że znalazł zegarek i chce poznać jego właściciela i wtedy sprawa sprzedaży weźmie w łeb, bo czy okaże się, że ten odszukany właściciel jest bliźnim czy nie jest bliźnim to znaleziony zegarek wypada mu przekazać, no bo jak inaczej? — Błażej poczuł, że nie starczy mu chyba życia na rozstrzygnięcie tego dylematu.

Ale może nie jest tak jak mówił Joachim, przecież on też, jak każdy człowiek może się czasem mylić. — Dopuszczał do siebie Błażej taką myśl.

Błażej w końcu, gwoili całkowitej pewności, że postąpi tak jak na dobrego chrześcijanina przystało, postanowił zwrócić się do najbardziej wiarygodnej w tym względzie instancji to znaczy do księdza Proboszcza.

Opowiedzieć jak i co przy spowiedzi i prosić o rozstrzygnięcie czy Joachima opinia jest zgodna z duchem nauk chrześcijańskich, zwłaszcza, że zbliżały się święta Bożego Narodzenia i wiedział, że jako praktykujący katolik, do spowiedzi i tak pójdzie, bo gdyby nawet próbował się jakoś wykręcić, to już Zyta dopilnuje żeby tym razem mu się to nie udało.

— Coś taki markotny Błażejku, powiedz coś, mowę straciłeś czy co? — Zyta nagabywała Błażeja nie jeden raz, po drodze do kościoła.

Błażej w odpowiedzi, za każdym razem bąkał coś wymijająco i milczał.

— Coś to milczenie musi znaczyć, kochankę ma czy co?. — snuła domysły Zyta.

Zyta to ostatnie podejrzenie odrzuciła początkowo jak niedorzeczne, ale później, jak sobie przypominała to, co słyszała o zdradach małżonków, Zdradach nawet takich, których by nikt o to nie podejrzewał.

Czuła w duszy rosnącą niepewność. Kto tam wie jak jest naprawdę; licho nie śpi. — Rosło podejrzenie w duszy Zyty.

Przypominała sobie zachowanie Błażeja w minionym roku, w minionych dwóch latach nawet.

Wychodził z domu wcześniej rano, po to wychodził, żeby złowić jakąś rybę i trzeba przyznać, że od jakiegoś czasu szło mu całkiem nieźle.

To wychodzenie skoro świt, nie wzbudzało żadnych podejrzeń Zyty.

Ale po powrocie z połowów, po śniadaniu, wychodził z domu kryć słomą fragmenty uszkodzonego słomianego dachu, na wykonanym z drewnianych bali starym domu pokrytym słomianą strzechą. Ten dom był jakieś dwie wiorsty od domu Błażeja.

Każdy uczciwie zarobiony grosz w gospodarstwie był potrzebny, co do tego byli z Zytą zgodni.

Zazwyczaj, kiedy wracał, było już ciemno. Późne powroty, tłumaczył koniecznością pokrycia nową strzechą zniszczonych fragmentów dachu, przed nastaniem zimy.

Niby wszystko w porządku, ale czy on na pewno cały czas wtedy, kiedy go nie ma w domy układa te wiechcie słomy na dachu? — Zyta miała wątpliwości.

W dodatku od pewnego czasu Zyta czuła, że Błażej nie lgnie tak do niej, jak jeszcze nie tak dawno bywało, że lgnął do niej jak nie wiem co, jak ten przysłowiowy niedźwiedź do miodu lgnie albo jeszcze bardziej.

Bywa, że kiedy już wszystko co było do zrobienia w gospodarstwie domowym jest zrobione, kiedy po modłach i kąpieli znajdzie się u boku Błażeja w łóżu małżeńskim, nim zaśnie, wracają do niej wspomnienia z czasów młodości z czasów kiedy zaczęli się spotykać z Błażejem i nieco późniejsze wspomnienia, kiedy Błażej wyznawał jej miłość i jeszcze późniejsze kiedy na kolanach pytał pokornie, czy zechciałaby zostać jego żoną.

Nie mogła się doczekać na tę chwilę, na to pytanie Błażeja, zwłaszcza że pojawiło się i rosło zauroczenie Błażejem, co odczuwalność tego czekania powiększało do niebywałych rozmiarów.

Ale jak zapytał, to patrzyła z uwielbieniem na Błażeja i nie zwlekając odpowiedziała szczęśliwa, ze łzami w oczach ,.....tak, taaak kochany Błażeju.

Z rozrzewnieniem wspomina tamte, przecież nie zbyt odległe, cudowne czasy, żywiąc nadzieję, że los będzie dla niej łaskawy i jeszcze doczeka się podobnych przeżyć, podobnych niezapomnianych doznań.

— Mnie też ogarnia taki błogostan, kiedy wspominam okres narzeczeństwa, lub pierwsze lata małżeństwa z Hubertem. — Pąsowiejąc wyznawała Agata

— Ten opis nostalgii za minionymi latami, pasuje jak ulał także do mojej sytuacji — zdradziła podniecona Jagna.

— I mojej również — przyznała się Magda.

Ale Magda nie wydała się być zaskoczoną nostalgią za minionymi latami i dodała: — To już takie nasze babskie zmartwienia, nie tylko Zyty. Trzeba się z tym pogodzić chcąc nie chcąc, ale przejdźmy do rzeczy.

Przerwaliśmy ci Karolino w momencie kiedy Zyta z Błażem zmierzali do kościoła.

— No właśnie — przyznała Karolina i kontynuowała:

— Już weszli do kościoła. Kościół był pełen parafian. Niemal wszyscy byli albo już po spowiedzi albo przed spowiedzią. Tych ostatnich był więcej i można było ich poznać bo czekali w kolejkach do spowiedzi.

Skupieni, nie pewni jak to wszystko wyjdzie, gorączkowo czynili „Rachunek sumienia”

Błażej stanął w takim miejscu, że w polu widzenia w prawej nawie, miał siedzącego w konfesjonale księdza Proboszcza.

Zyta poszła do spowiednika w lewej nawie.

Spowiednikiem był tam, młody, niezwykle przystojny zakonnik, Uśmiechał się życzliwie do oczekujących w kolejce do spowiedzi.

Błażej domyślał się po stroju, że zakonnik jest dominikaninem. Pamiętał, że jako ośmioletni, później dziewięcioletni chłopiec — nie zdał po I-m roku nauki — uczęszczał drugi rok na naukę o religii po to, by posiąść wiedzę wystarczającą w ocenie księdza Proboszcza do tego, by mógł go dopuścić do I-j Komunii Świętej i uznać za swojego parafianina.

Błażej zapamiętał, że młody Dominikanin — ten co uczył Błażeja — był ubrany w biały habit a biały szkaplerz okrywał zarówno jego barki jak i plecy i piersi.

Tunikę miał przewiązaną skórzanym pasem z przewieszonym przezeń różańcem.

Ten do którego w kolejce ustawiła się Zyta, nosił właśnie taki strój jak ten co uczył Błażeja.

Kiedy Błażej po raz wtóry zerknął w stronę konfesjonału w ewej nawie, rozpoznał w siedzącym tam spowiedniku, tego samego Dominikanina, który spowiadał w roku ubiegłym i dwa lata temu także.

Od razu sobie przypomniał, co mówiono o tym uroczym duchownym.

Przeważały opinie, że wydaje się być bardziej tolerancyjnym w ocenie grzechów i wymierzaniu pokuty od naszego księdza Proboszcza.

Z każdej stron konfesjonału gdzie teraz spowiadał wyróżniający się urodą, życzliwym uśmiechem i zachowaniem Dominikanin, ustawiła się długa kolejka. Widać tam było przeważnie dziewczyny i młode mężatki. Kolejka z jednej strony sięgała po kruchtę z drugiej zaś wiała się wzdłuż lewej nawy, poprzez transept, aż do prezbiterium. .

Błażej świadomie wyczekiwał na chwilę, aż kolejki skrócą się kilkakrotnie i będzie można z dużą pewnością założyć, że już nikt do nich, do tych kolejek nie dołączy, wtedy ulokuje się na końcu kolejki z nadzieją, że będzie mógł swobodnie porozmawiać z księdzem Proboszczem lub z młodym Dominikaninem, o tym, co go nurtuje i poprosić o radę.

Wahał się ciągle, do czego pójść.

Gdzieś po upływie krócej niż godziny, kolejki do księdza Proboszcza praktycznie nie było.

Od strony kruchty klęczała babcia z modlitewnikiem w jednej ręce i różańcem w drugiej i tuż za babcią dziadek a od strony prezbiterium dwie babcie.

W lewej nawie też kolejka skróciła się tak na oko o jakieś trzy czwarte — może trochę mniej.

Błażewi rozważającemu gdzie pójść, pojawiały się nieoczekiwane w pamięci jedna za drugą opinie niektórych parafianek o księdzu Proboszczu:

Oto jedna z wielu podobnych w treści opinii:

— Nasz wielbny ksiądz Proboszcz pewnie jest obdarzony przez Opatrzność jakimś niepojętym dla zwykłych śmiertelników darem. Powiedzieć można darem jasnowidzenia czy coś w tym rodzaju. Ten dar jasnowidzenia sprawia, że żadnej nieprawdy nie da się przed nim ukryć nawet przy zwykłej rozmowie a co dopiero grzechu przy spowiedzi, zwłaszcza spowiedzi przed takimi świętami jak „Boże Narodzenie” czy „Wielkanoc”.

Przenoszę się do lewej nawy — postanowił.

Ksiądz Proboszcz obserwował od dawna Błażeja.

Zauważył, że Błażej nie może ustać spokojnie tylko się rozgląda to w lewo to w prawo. Coś mu chyba musi być bo inaczej by tak się nie zachowywał.

Znał Błażeja od dziecka. Błażej w charakterze ministranta usługiwał przez wiele lat księdzu Proboszczowi do Mszy Świętej. Nie widywał ostatnio Błażeja w kościele to prawda, ale może nie mógł z jakichś ważnych powodów.

Spoglądał na Błażeja w czasie kiedy pukał w kratę konfesjonału i potem przechylał się na drugą jego stronę.

Wyglądało, że coś Błażeja gnębi, nie zajmuje miejsca w kolejce jak każe zwyczaj, wierci się niespokojnie i czeka nie wiadomo, na co; coś mu pewnie leży na sumieniu.

Przed wykonaniem pierwszego kroku do lewej nawy, spojrzął jakoś na księdza Proboszcza. Ksiądz Proboszcz uśmiechnął się, skinął ręką, dając znak żeby Błażej podszedł bliżej. Błażej podszedł bliżej.

— Do spowiedzi Błażeju? — pytał Ksiądz.

— No tak proszę księdza Proboszcza — odpowiedział Błażej, trochę speszony obrotem sprawy.

— To włącz do kolejki – usłyszał Błażej i posłusznie zajął klęczące miejsce za ostatnią w kolejce babcią.

— Błażej jeszcze raz powtórzył sobie w myśli, co i jak powie, ale o łowieniu ryb i przygodach z tą wielką rybą nie będzie mówił, bo i tak mu ksiądz Proboszcz nie uwierzy a raczej pomyśli, że coś nie dobrego dzieje się z głową Błażeja.

Niedługo trwało a już był po spowiedzi.